



TRANDOSHA

Mateusz „Payback” Potaczek

BOHATEROWIE:

Mandalorianie:

Lithan - Selonianin

Meili – Devaronianka, drugi pilot „Mrocznego Jeźdźcy”

Nomi Daar – Twi’lekanka, kapitan „Doashima”, snajper

Sia Az’tan - Zeltronka

Shwarrz – Togorianin, drugi pilot „Doashima”, Spec od walki wręcz

Tryss – Codru Ji, fechtmistrz

Xuuro Varth– Faleanin, haker

Zanx Javet – Zabrak, kapitan „Mrocznego Jeźdźcy”, mechanik

Trandoshanie:

Brassk – łowca głów, kapitan „Krwawego Pazura”

Krassk – łowca głów, drugi pilot „Krwawego Pazura”, fechtmistrz

Yuuzhanie:

Nam Cieer – Dowódca armady

Heff – Doradca domeny Cieer

Del Avaret – człowiek, kapitan Imperialnej Marynarki

PROLOG:

Mistrz Wojenny Tsavong Lah stał w swojej kabinie zwrócony twarzą ku iluminatorowi, wpatrując się w czarną pustkę przestworzy. Rozmyślał nad przebiegiem inwazji na galaktykę niewiernych. Stracił już w imię bogów tyle wojowników i okrętów, a tak wiele planet zostało do podbicia. No i jeszcze ci *Jeedai*...

Jego rozmyślenia przerwała otwierająca się błona drzwiowa za plecami, która rozsunęła się niemal bezgłośnie. Niemał. Czułe zmysły Mistrza Wojennego zanotowały ten charakterystyczny dźwięk od razu. Do pomieszczenia wszedł sporo młodszy od niego Yuuzhanin, którego ciało poznaczone było już jednak wieloma bliznami. Był również nieco wyższy i lepiej zbudowany, choć ciężko było to dostrzec przez zbroję z kraba Vonduum, którą miał na sobie. Po przekroczeniu progu wyraźnie zwolnił, chociaż jego chód pozostał pewny. Biła od niego pewność siebie, odwaga, a nawet można by było zaryzykować stwierdzenie, że buta. Zatrzymał się dopiero kilka kroków przed stołem, na którym leżały dwie włochate kulki wielkości pięści. Skrzyżował ręce na piersi, uderzając pięściami o zbroję oraz skłonił się lekko w odpowiedniku salutu. Trwał w tej pozycji przez chwilę, po czym odezwał się - po yuuzhańsku, oczywiście:

-Zgodnie z wolą bogów stawiam się na twoje wezwanie Mistrzu Wojenny i oczekuję na rozkazy.

Dopiero kiedy skończył wymawiać ostatnie słowa, Tsavong Lah obrócił powoli w jego stronę beznosą twarz. Widząc to, tamten nieznacznie schylił głowę, na tyle żeby nie spojrzeć w oczy starszemu. Nazywał się Nam Cieer i był pierwszym w swojej

domenie, który zaszedł tak wysoko w szczeblach dowodzenia i jeżeli się nie mylił ta wojna przyniesie mu jeszcze wiele zasług. Błyskotliwa kariera pod rozkazami samego Mistrza Wojennego, jego przychylność oraz dalsze plany podboju galaktyki, darowanej im przez bogów, dawały naprawdę idealne rokowania na przyszłość. Wiedział, że chwile jego chwały są już blisko. Ale były nawet bliżej niż mu się wydawało.

- Dziękuj bogom, Namie Cierze – zaczął starszy Yuuzhanin – oto nadszedł długo wyczekiwany przez ciebie dzień, w którym sam poprowadzisz wojowników do walki z niewiernymi – kontynuował, odwrócony znów w kierunku mrokom przestworzy - Ja wraz z dużą częścią floty muszę prowadzić podbój tej części galaktyki. Tobie przypadnie w udziale zdobycie planety, która będzie nam potrzebna do prowadzenia późniejszych działań wojennych. Weźmiesz, więc kilka naszych statków i zdobędziesz dla nas świat znany tutaj jako Trandosha. Znajduje się ona w systemie... - urwał na chwilę, zastanawiając się jak wymówić to słowo – *Kaashik*. Nasza Flota zbierze się tam później, aby poprowadzić atak na główną planetę systemu, gdzie według naszych informatorów znajdują się bluźniercza placówka niewiernych.

Nagle Mistrz Wojenny odwrócił się całkowicie w stronę wojownika i przeszedł kilka kroków w jego stronę. Niemal każda istota cofnęłaby się na widok tak gwałtownego ruchu, Jednak Nam Cieer nie ruszył się, choćby o milimetr. Wojownikowi nie wolno było się cofnąć przed niczym, tego byli uczeni wszyscy. Tak wychowani nie mogli okazać strachu. Nie wiadomo było nawet czy to pojęcie jest im znane, a jeśli tak to czy w tej samej formie, co reszcie istot w tej galaktyce?

-Planetę zamieszkują istoty zwane Trandoshanami. W tej galaktyce słyną z wyjątkowej, jak na niewiernych, waleczności i brutalności. Chcę żeby przysłużyli się nam w dalszych etapach inwazji. Jako niewolnicy, oczywiście. Zabierzesz, więc też ze sobą przedstawicieli kasty mistrzów przemian, którzy ostatnimi czasy przygotowali kilka użytecznych... rozwiązań. – Lekko się uśmiechnął, po czym wskazując ręką na powierzchnie stołu kontynuował – To jest vilip,

przy pomocy, którego będziesz regularnie składał raporty bezpośrednio mnie i tylko mnie.

Wojownik zrobił dwa kroki w przód i schował stworzenie w dłoni, po czym wycofał się do poprzednio zajmowanego miejsca. Zauważył, że Mistrz Wojenny wpatruje się w niego przeszywającym wzrokiem, więc znów opuścił głowę. Kątem oka zauważył, że starszy Yuuzhanin znów się przemieścił, ale z tak ułożoną głową nie był w stanie stwierdzić, w którym kierunku. Po równych i powolnych odgłosach stwierdził, że Tsavong Lah zaczął się zwyczajnie przechadzać po kabinie.

- Niesławne Praerorite Vong dostarczyło nam informacji o tych istotach, z którymi przyjdzie ci się być może zmierzyć. Ostatnia prawdziwa wojna nawiedziła ich świat około tysiąca lat temu, więc nie spodziewałbym się zorganizowanego oporu z ich strony. Twój wojownicy nie powinni mieć, zatem żadnych trudności z pokonaniem ich. Ja z kolei zajmę walką główną, bluźniercze siły niewiernych, które mogłyby ewentualnie przyjść obrońcom z pomocą. A teraz idź, przygotuj statki i wojowników. Zdobądź ten kolejny świat na chwałę bogów. Niech nasze siły wyplenią z tej galaktyki bluźnierczą zarazę niewiernych.

- Tak się stanie, Mistrzu Wojenny, zgodnie z wolą bogów i twoją – odrzekł młody wojownik, uważając, żeby zachować właściwą kolejność.

Nam Cieer skłonił się, po czym, robiąc zwrot w miejscu o sto osiemdziesiąt stopni, wyszedł z kabiny. Kątem oka dostrzegł, że Tsavong Lah znów wpatruje się w gwiazdy, jakby szukając w nich potwierdzenia własnej nieomyślności. Jednak nawet, natchniony przez bogów, Mistrz Wojenny popełniał błędy. Nawet podczas odprawy, oddalającego się już, wojownika pomylił się, co do jednej sprawy i nawet sam nie zdawał sobie sprawy jak bardzo.

CZEŚĆ 1:

Brassk przedzierał się przez gęstą dżungłę smagany, co chwila po twarzy cienkimi, ostrymi jak brzytwa gałązkami mijanych drzew. Jego lekko przyśpieszony oddech brzmiał nienaturalnie głośno w otaczającej go ciszy. Trandoshanin utrzymywał jednolite, szybkie tempo, obserwując jednak cały czas otoczenie.

Trzask!

Jakaś gałązka pękła niepokojąco blisko nad nim. Zatrzymał się raptownie, napiął każdy jeden mięsień, jego lewa ręka automatycznie powędrowała do pasa – była to reakcja automatyczna, za często ratowała mu życie, żeby mógł ją ciągle uznawać za nienaturalną. Na jego prawym udzie wisiała, bowiem pewna broń, o tyle nietypowa, co bardzo kosztowna. Był to pejcz wykonany z durastali, a przetykany, miejscami, włóknami cortosisu. Przy końcu umieszczony został rząd ostrych, zagiętych kolców, które z łatwością radziły sobie ze skórą większości znanych gatunków stworzeń w galaktyce, każdy kryjący jakiś specyficzny rodzaj jadu bądź trucizny. Dla niewprawionego użytkownika broń mogła okazać się o wiele niebezpieczniejsza niż dal potencjalnego przeciwnika. Brassk jednak poświęcił wiele lat na naukę posługiwania się pejczem, teraz był niemal przedłużeniem jego ręki. Nie znaczyło to, że nie nosił blastera. Chodziło raczej o to żeby wiedzieć, w jakich sytuacjach używać jednego lub drugiego. Mimo, że Trandoshanin strzelał całkiem niezłe i niejednego już upolował w ten sposób, to jednak w jego zawodzie trzeba było czasem wykazać się odrobiną

pomysłowości i elastyczności. Był łowcą Wookiech, chociaż dawniej nie pogardził też Imperialnym zleceniem na przedstawiciela innej rasy. Pejcz nigdy nie sprawiał wrażenia broni, więc nawet przy kontroli pasażerów na różnych planetach, dawał się łatwo ukryć. Teraz stał jednak na niewielkiej polanie, zewsząd osłoniętej potężnymi drzewami, licznymi na powierzchni całej *Dosh'y*. Przerzucił ciężar ciała na prawą nogę, aby mieć możliwość wyprowadzenia szybkiego ataku. Nasłuchiwał. Rozległ się skrzek i jakiś ptasi mieszkaniec dżungli poderwał się do lotu. Brassk przez ułamek sekundy wpatrywał się w jego tor lotu. Właśnie tego ułamka potrzebował jednak cień spadający na niego z, mrozącym krew w żyłach większości ras, wrzaskiem przechodzącym w syk. Tajemniczy kształt okazał się również być Trandoshaninem, o nieco ciemniejszym kolorze fusek niż u Brasska, ubrany w lotniczy kombinezon w zgnitym zielonym kolorze jaśniejszym trochę od tego, w który ubrany był pierwszy Trandoshanin. W obu rękach trzymał dwa długie noże. Sytuacja była o tyle dziwna, że oba wykonane były z drewna, a dwa podobne do nich, choć wykonane z jakiegoś metalu, wisiały ciągle u pasa napastnika. Wszystko to oko Brasska zarejestrowało w czasie, zanim przeciwnik zdążył pokonać połowę dzielącej ich odległości. Kolejną wykorzystał, aby sięgnąć prawą ręką za plecy po treningowy pejcz i odskoczyć w tył na bezpieczną odległość. Szybka reakcja spowodowała, że skaczący Trandoshanin, lądując twardo na ziemi zamiast na głowie Brasska, stracił na chwilę równowagę. Ta chwila nieuwagi wystarczyła w zupełności, aby wokół jego nóg owinął się pejcz z włókien drzew *Doshi*. Nim napastnik zorientował się, co właściwie zaszło leciał już do tyłu, głową na twardą ziemię. Instynktownie zwinął się, aby wylądować na plecach, co wystarczyło, aby po chwili, leżąc już, miał przystawiony jeden ze swoich "noży" do krtani.

- Nie udało Ci się mnie tym razem zaskoczyć, co, Krassk? -
Wysyczał Brassk, ukazując pełen garnitur zębów w przyjacielskim uśmiechu, na widok, którego przedstawiciel niejednej inteligentnej rasy padłby na zawał.

- Nie ciesz się tym tak, bracie – odsyknął Krassk – i... - szybkim ruchem nadgarstka wytrącił broń z ręki drugiego Trandoshanina, wykorzystując obrót do zmiany pozycji na przeciwną do tej, w której się znajdowali - ... zawsze zachowuj czujność. - Tym razem to on się uśmiechnął.

- Ta, jasssne... - Rzucił Brassk, chwytając podaną mu przez brata rękę i dźwigając się ciężko z ziemi – ale i tak dzisiaj to ja wygrałem.

- Ah, kiedy ty się nauczysz, że polowanie przestało już być grą. Od czasu Ithora stało się prawdziwą walką o przetrwanie. Nie chciałbym, żeby nasza współpraca zakończyła się śmiercią jednego z nas.

- „Razem od narodzin do śmierci”, tak? Za bardzo wierzysz w naszą... unikalność – odciął się Brassk, przypinając treningową broń na miejsce.

Zapach dżungli, tu, na *Doshy* oraz słowa brata wywołały u niego fale wspomnień. Faktycznie byli rodzonymi braćmi, a na dodatek na swój gadzi sposób bliźniakami, i na tym właśnie polegała ich unikalność. Nie żeby Trandoshanie mogli mieć tylko pojedyncze potomstwo w jednym miocie, ale narodziny, a raczej wyklucie i jakiś czas po nim to był jeden z najbrutalniejszych etapów życia Trandoshanina. Zazwyczaj przeżywał tylko jeden osobnik, najsilniejszy, który zabijał i, najczęściej, zgodnie z obrzędem *Doshy* pożerał swoich braci i siostry. Dzięki tej naturalnej selekcji stali się oni rasą silnych łowców, zdolnych polować na swych największych wrogów – Wookiee. Brassk i Krassk jednak przeżyli obaj, zaraz po wykluciu powstała między nimi, specyficzna więź, dzięki której od samego początku podświadomie wiedzieli, że mają ze sobą współpracować. Ich rodzice nigdy nie byli zadowoleni z takiego obrotu sprawy, czego nigdy nie starali się bardzo ukryć. Bardzo szybko bracia nauczyli się, więc, że mogą liczyć tylko na siebie. Tak już pozostało, przez długie lata łowów poza rodzinną planetą. Teraz po powrocie na *Doszę* wszystkie wspomnienia wróciły ze zdwojoną siłą i musieli stłumić w sobie chęć odnalezienia rodziców. Z pogardy dla nich zdecydowali, że pozwolą im umrzeć ze starości, czyniąc tym samym wielką skazę na ich trandoshańskim honorze.

Może nawet nie wróciliby na rodzinną planetę, gdyby nie widzieli na własne oczy tego, co Bliznogłowi robili z Galaktyką. Eksterminacja całych gatunków, destrukcja całych ekosystemów, a nawet planet (prowadź Sędzino duszę z Serpidala). Wiedzieli, że widmo wojny może kiedyś zawitać także na ich planetę, zwłaszcza, że ta *kriffing* Nowa Republika, miała bazę w tym systemie, na powierzchni znieawidzonego Kasyyyka. *Dosha* była ważniejsza niż prywatne łowy, a nawet ważniejsza niż ratowanie własnego życia. Bez *Niej* załamią się tradycje i zasady Trandoshan. Może i byli rozproszeni po galaktyce tak jak Mandalorianie, ale w przeciwieństwie do nich wraz ze zniszczeniem planety utraciliby swoją niezachwianą wiarę. Staliby się kimś innym, obcymi w Galaktyce. Bracia wrócili na planetę już dobre pół roku temu, ale największa fala powrotów zaczęła się dopiero miesiąc lub dwa wstecz. Wrócili wszyscy, którzy jeszcze żyli i nie trzymali ich przysięgi wojskowe, względem Galaktycznych rządów. Byli to głównie łowcy nagród, przemytnicy, piraci i pomniejsze szumowiny, ale czasem pojawiali się też dezercerzy z armii czy uchodźcy ze zdobytych przez Yuuzhan planet. Od tygodnia nie przyleciał już nikt, co znaczyło, że szklaki prowadzące do domu zostały odcięte. Napięta atmosfera panowała na całej planecie, a miejscami sięgała już granic. To wszystko wisiało tylko w powietrzu i czekało, żeby wybuchnąć. Jednak, niektórym, świeża w głowach pewna myśl, która dawała nadzieję – oczekiwanie na jedną istotę, na której barkach spoczywało wielkie dziedzictwo tych czasów. Wierzyli, że ta osoba się pojawi i poprowadzi ich, że dzięki temu zdołają odeprzeć atak galaktycznych najeźdźców. Jedną z wierzących w to osób był Brassk. Usiadł na pieńku, który znajdował się pośrodku polany i był świadkiem niedawnego treningu braci. Spojrzał w niebo, na Akoshissss, jałowy księżyc widniejący na tle gwiazd. Nieboskłon, o tej porze dnia nadawał mu lekko zielonkawy odcień. Był to widok, jaki zapamiętał z wczesnych lat spędzonych z bratem na *Doshy*, i który zawsze skłaniał go do rozmyślań. Brat spojrział na niego, z lekką troską w oczach, co i tak wydałoby się innej istocie błyskiem w oku drapieżnika.

- On nie przyleci, wiesz o tym, prawda? - Raczej stwierdził, niż zapytał Krassk – nie jest tym, za kogo go mamy.

- Co? Kto? O kim mówisz? - Udał zdziwionego, wyrwany z zadumy Brassk – Zupełnie nie wiem, o co ci cho... - Przerwał odwracając głowę od nieba i patrząc na, surowe tym razem, spojrzenie brata – Asss, nie doceniasz go... Ssyn Cradosska nigdy nas nie zostawi, musi pamiętać o naszych tradycjach. Jego ojciec był wielkim łowcą i przyniósł nam zaszczyt dzierżąc władzę w Gildii Łowców Nagród. Bossk o tym wiedział, i dał mu najszlachetniejszą śmierć.

- Może i tak, ale jak sądzisz, czy on wie jak wszyscy na niego liczą? Myślisz naprawdę, że one tego chce?

Brassk znów popadł w zadumę, nasłuchując cały czas dźwięków napływających z dżungli. To było naprawdę dobre pytanie. Jeśli jeszcze żył, w co nie wątpił żaden Trandoshanin, to Bossk mógł nie wiedzieć ile znaczy dla swoich pobratymców. Zwykle pracował solo i nie lubił wdawać się w rozmowy o *Doshy*, a jeśli nawet to twierdził, że teraz jego jedynym domem jest „Hound's Tooth”. A więc nawet, jeśli wiedział, mogło go to bardzo nie obchodzić, był przecież jednym z najlepszych łowców, a wojna zawsze przynosiła dużo zleceń... Nie, skarcił się w myślach, On nigdy nie pracowałby dla Bliznogłowych, nie wierzył w to.

- Zapomnij o tym pytaniu Brassk. Wiem, że i tak nie przyznasz mi racji, ale wiesz... - Schował treningową broń, którą do tej pory ciągle jakby ważył w ręku - ... przychodzą chwile, że mnie też porywa ta złudna nadzieja, ten szal nadziei.

- Wszyscy czekamy, bracie, bo niby, kto ma poprowadzić nas przeciw tym beznosym gnojkom? Sami nie damy rady... Krassk wiedział, o co chodziło bratu, o ideę, która poruszy ich pobratymców, o iskrę zapali w nich ogień łowców. Cóż, w ostateczności, taką iskrą może być atak Yuuzhan, ale oby wtedy nie było za późno... Zaraz po powrocie zażądali spotkania ze starszymi klanów, na co pozwoliła im błyskotliwa kariera łowców Wookiee za dobrych czasów panowania Imperium. Dała im ona łaskę *Sędziny*, dzięki której każdy z Rady musiał z nimi rozmawiać jak równy z równym - tak nakazywała Tradycja. Przedstawili wszystko, co

widzieli na planetach podbijanych przez Yuuzhan Vongów i razem zaczęli opracowywać plany obrony. Wtedy nie wyglądało to tak szczęśliwie, ale teraz po powrocie tylu ziomków, mieli do dyspozycji małą, prywatną flotę oraz wielu znających się na rzeczy łowców. Niemal wszystko było już gotowe. Nowe osady, ukryte głęboko w dżungli były prawie całkowicie wypełnione Trandoshanami. W starych, wystawionych na pierwszy atak nieprzyjaciela, nie pozostał nikt poza operatorami obrony przeciwwietrznej i zwiadowcami, którzy w razie potrzeby mogli szybko zniknąć w dżungli. Statki były poukrywane w kilku punktach zbornych na w najgęściej zarośniętych częściach *Doshi*. Wszyscy oczekiwali tylko na jeden rozkaz, zawierający ustalone wcześniej hasła. Bracia mogli poprowadzić sami obronę planety, i na pewno nadawaliby się do tego, ale wszyscy czekali na tego, który ich poprowadzi. Ostatecznie tłumy zawsze potrzebowały symbolu, legendy i natchnienia.

-Tak niewiele o nim wiedzą - przemknęło Krasskowi przez myśl. Razem z bratem, spotkali kiedyś Bosska, podczas wykonywania jednego z imperialnych zleceń i nie za bardzo spodobał mu się sposób prowadzenia łowów przez syna Cradosska. Chociaż hołdował tradycjom *Doshi*, to jednak przebijały się przez to nawyki przejęte od innych łowców nagród.

- Chodź, bracie – powiedział do Brasska – nie chcemy przecież sprawić zawodu Bliznogłowym, trzeba dopilnować ostatnich przygotowań...

- ... i porządnie się najeść – dokończył drugi Trandoshanin, podnosząc się z drapieżnym uśmiechem z pieńka. Razem ruszyli ścieżką, prowadzącą do największej z Nowych Osad, zagłębiając się w mrok dżungli coraz dalej, i dalej.

Nam Cieer stał pośrodku mostka statku flagowego jego niewielkiej armady. Spojrzał na beznose twarze swojej załogi, wśród której dawało się wyczuć napięcie. Wszyscy zdawali sobie doskonale

sprawę, że podobój tej planety może im otworzyć drogę do awansów. Żaden z nich nie spodziewał się innego scenariusza, wierzyli w niego. Obejrzał się przez ramie wymieniając spojrzenia ze stojącym przy drzwiach wojownikiem, który zawsze towarzyszył mu zarówno tu, na mostku, jak i w czasie walki na polu bitwy. Heff mógł być nawet uważany za przyjaciela dowódcy, ale bardziej pasowało do niego określenie „zaufany adiutant”, stosowane przez niewiernych w tej Galaktyce. Jeszcze nigdy go nie zawiódł, tak jak On nigdy nie zawiódł swoich podwładnych. Jak do tej pory, zawsze prowadził ich do zwycięstwa.

I nie zamierzał tego bynajmniej zmieniać.

Powrócił wzrokiem do głównego iluminatora w odpowiedniej chwili, aby zobaczyć rozmazane smugi gwiazd, kiedy okręt opuścił czarną przestrzeń. Nie musiał wydawać żadnych rozkazów, wszyscy doskonale znali swoje obowiązki, które wykonywali na chwałę bogów.

-Bogowie! - Prychnął w myślach Cieer. Sprytne kłamstwo wpajane Yuuzhanom od tysiącleci, do którego z czasem uzależniono niemal całą ich kulturę. Niemal, pozostały pewne... Nieścisłości, dzięki, którym nieliczni mogli się opamiętać. Faktem było jednak, że dzięki temu kultowi łatwiej było sterować całym społeczeństwem. Według Cieera, Najwyższy Lord doskonale o tym wiedział, ciekaw był jednak, kto i ile pokoleń temu odkrył ten sposób sprawowania władzy.

Tak samo teraz, mógłby rzucić wojowników w wir straceńczej walki, jak uczyniłaby to większość dowódców – na chwałę bogów śmierci, w jakich wierzyli. Istotnie fanatycy robili niejednokrotnie prawdziwe piekło na polu walki, ale straty, jakie przy tym ponoszono były dalekie od oczekiwań Nam'a. Wierzył, że taktyka walki jest dużo ważniejsza, a plan, w którym nie staje się tylko do otwartej walki, ale podchodzi przeciwnika i pokonuje sprytem, może być dużo efektywniejszy. A zwycięstwa, choć mniej spektakularne, stają się bardziej opłacalne w przypadku wojny prowadzonej na tak olbrzymia skalę.

Oczywiście, jeśli jego precyzyjny plan by się nie powiódł to będzie musiał się uciec do utartych metod. Ostatecznie liczył się tylko jeden cel – awans, coraz większa władza. Pragnął, chociaż część tej wojny poprowadzić sam, drażniło go marnotrawstwo wojowników. Niezależnie od tego, co sądził Mistrz Wojenny, o tą galaktykę trzeba będzie walczyć długo i zaciekle, a jak na razie Yuuzhan ginęło w tych starciach stanowczo za dużo.

Wśród załogi dało się wyczuć napięcie, po wyjściu z czarnej przestrzeni wszyscy czuwali. Mijały sekundy, minuty, aż w końcu po odczekaniu niemal standardowej godziny atmosfera zaczęła się rozluźniać - nic ich nie atakowało, pierwsza część planu się powiodła. Niewielka armada Cieera zdołała się ukryć przed bluznierczymi czujnikami gadopodobnych istot zamieszkujących planetę. Zagranie było o tyle ryzykowne, że istotne było zgranie w czasie i przestrzeni. Nam miał pewne znajomości wśród członków niesławnego ostatnio Praetorite Vong, dzięki czemu zdobył kilka dodatkowych informacji o celu swojej wyprawy. Najistotniejszym elementem był naturalny satelita planety oraz jego orbita. Przy dobrze wyznaczonych współrzędnych pojawienia się w systemie można było za tarczą księżyca Akoshissss ukryć kilka statków. To wystarczyło Cieerowi. Teraz należało przejść do drugiej fazy planu. Wydał, przez viliipa polecenie pilotowi małego, niepozornego statku wyhodowanego specjalnie na ta okazję. Był to nieporadnie wyglądający skoczek koralowy, który nie miał większych szans przetrwania starć z myśliwcami niewiernych, ale było to kosztem za ulepszone systemy celownicze i dodatkowe dwie wyrzutnie plazmy. Ten praktycznie niezauważony statek wychynął, zza tarczy księżyca, wziął na celownik niewielka stację przekaźnikową na orbicie planety i wystrzelił.

Nam Cieer z podziwem obserwował smugi, które zostawiały za sobą na niebie kule płonących pocisków... Do nich dołączały kolejne i kolejne...

Armada zaczęła powoli wychodzić zza zasłony księżyca, zasypując pociskami cel wskazany przez pilota skoczka...

Oślepiający błysk wybuchu rozświetlił niebo nad głowami zebranych na polanie Trandoshan. Krassk podniósł do oczu makrolornetkę i zaczął obserwować niebo. Pozostali w milczeniu wyczekiwali, co powie on albo jego brat.

Stało tutaj około pół setki gadopodobnych mieszkańców *Doshy*. Większość ubrana była w lekkie tuniki i przepaski biodrowe, niejednokrotnie wykonane ze skóry Wookieech. Nieliczni nosili kombinezony lotnicze podobne do tych, które mieli na sobie bracia. Miny wszystkich wyrażały głębokie skupienie na sytuacji, a nerwowo przebierali nogami tylko Ci z czerwonymi opaskami na ramionach – kurierzy. Była to głęboko zakorzeniona tradycja w kulturze *Doshy*, która powstała jeszcze za czasów wojen domowych na planecie, tak, aby posłańcy mogli wyróżniać się spośród dżungli, dzięki czemu mieli zapewnioną nietykalność na polu bitwy. Dziś opaski nie były konieczne taktycznie, ale bardzo skutecznie podnosiły morale wojowników hołdującym tradycjom *Doshy*. Krassk przewidział, że pierwszym celem może być satelita przekaźnikowy, więc łączność może być na planecie utrudniona, zwłaszcza, jeśli chodzi o komunikacje między punktami obrony ziemia-powietrze rozrzuconymi w dżungli. Każdy kurier miał do dyspozycji jeden ze zdezelowanych, chociaż wciąż niezłe działających skuterów.

Około setka oczu wpatrywała się z wyczekiwaniem w Krasska, który nagle wyraźnie czymś poruszony oderwał makrolornetkę od oczu.

-Nadciągają! Wychodzą zza księżyca! - Wykrzyknął tak, aby usłyszeli go wszyscy.

-Niemożliwe... Jednak są... Przechytrzyli nas... - Wśród tłumu rozległy się szept i pomruki...

-...a jego jeszcze nie ma – jakby podsumował sytuację Brassk, na tyle cicho, aby usłyszał go tylko brat.

-Daj już spokój! - Warknął poirytowany Krassk – weź się w garść, oboje doskonale wiemy, że on nie przyleci. Oni nie mogą liczyć tylko na siebie – wskazał na tłum – ktoś ich musi poprowadzić...

-Nie... Nie możemy... Krassk.. Ty naprawdę.. - Brassk odwrócił się plecami do brata. - Tradycja...

-Tradycja? Kto jej będzie przestrzegał jak Bliznogłowi zrównają powierzchnię Doshy z ziemią?! Przygotowaliśmy to wszystko, nie dla niego, nie dla nas... Dla nich – znów odwrócił się w kierunku tłumy i ze zdziwieniem zauważył, że wszystkie głowy zwrócone są w jego stronę.

Wyprostował się i spojrzał każdemu kolejno w oczy. Zobaczył w nich tylko ponurą determinację, wolę życia i zew drapieżnika.

Dobrze, pomyślał, będą walczyć o życie, nie dla tradycji.

Poczuł lekki ruch za plecami, to Brassk odwrócił się w końcu w kierunku tłumy i stanął murem obok brata, który zrozumiał, że ten zaakceptował już rzeczywistość. Tłum dostał tym samym sygnał, że skończył się czas podziłów. Wszyscy teraz stają ramie w ramie.

- Nie będziemy oszukiwać nikogo, wielu z nas widziało, co Bliznogłowi robią z naszą galaktyką, a prawie wszyscy słyszeli opowieść Brasska o Ithorze, ale dla tych, którzy nie mieli tego pecha ujrzeć tych rzeczy na własne oczy... Powiem tylko, że nawet nasze legendy nie są tak przepełnione okrucieństwem. - zrobił chwilę pauzy, żeby do każdego dotarło znaczenie jego słów – Ale przecież to my jesteśmy największymi drapieżnikami wśród inteligentnych ras galaktyki. Tradycja *Doshy* nakazuje nam walczyć za nią do ostatniej kropli krwi, ale ogień, który płonie w każdym z nas nakazuje nam, żeby ta ostatnia kropla krwi należała do naszych przeciwników. Czas napić ziemię naszych przodków krwią tych, którzy wazyli się nas zaatakować! - Ostatnie słowa przeszły niemal w okrzyk.

Twarze wszystkich zebranych przyjęły jeszcze bardziej drapieżne miny, a w żółtych jarzących się oczach zapłonęły iskry oraz uznanie.

-Stacje przekąźnikowe, zgodnie z przewidywaniami zostały zniszczone. - Przeszedł do sedna Krassk – Kurierzy na siodełka, niech stanowiska artylerii się przygotowują, mieszkańcy i starszyzna

niech przygotowują do obrony nowe osady w dżungli... I niech poganiacze wypuszczą zwierzynę w opuszczonych miastach – uśmiechnął się drapieżnie – Piloci do statków, zebrać swoje eskadry i uformować szyk bojowy na drodze statków wroga. Dowódcy oddziałów łowców czekać na dalsze rozkazy ode mnie lub od Brasska w umówionych punktach zbornych – spojrzął jeszcze raz na wszystkich – I niech *Sędzina* prowadzi nas na łowy! Ostatnie zdanie jakby magicznie zmusiło wszystkich do rozbiegnięcia się w wyznaczonych kierunkach. Po chwili wszyscy zniknęli w głębi dżungli, a na polanie zostali tylko dwaj bracia.

-Krassk – zaczął ostrożnie Brassk – wiesz, że nie mamy szans w walce z tą flotą, która właśnie wchodzi zza tarczy Akoshissss, nie z tą ilością statków... Rozbiją nas w pył, wysyłamy rodaków na śmierć...

-Nie – sprzeciwił się Krassk i urwał jeszcze raz starając się uświadomić sobie co zaraz powie – możemy zrobić dla nich coś jeszcze. – przeszły mu po plecach ciarki – Musimy skontaktować się z... Kashyyykiem i poprosić o wsparcie od floty Nowej Republiki. Brassk popatrzył mu głęboko w oczy. Zauważył w nich jedynie pewność, niezachwiane przeświadczenie o tym, że czyni słusznie. Obaj wiedzieli o tym, że będzie ich kosztował dużo kontakt z ojczyzną Wookiech, tak dobrze jak o tym, że muszą to zrobić. Czasem honor był mniej ważny nawet dla Trandoshanina, *Dosha* zawsze była ważniejsza. Kiwnął bratu głową na znak, że i w tej kwestii popiera go tak jak poprzednio w czasie odprawy i jak zawsze do tej pory.

-Chodź, musimy w takim razie skorzystać z jednego z naszych asów i wyciągnąć go z rękawa. Trzeba oderwać się od *Doshy* i skontaktować się z naszą małą niespodzianką na księżycu. A poza tym – przeciągnął się – stęskniłem się za swoim fotelem za sterami „Krwawego pazura”.

Krassk wyszczerzył zęby w krzywym uśmiechu i skierował się szybkim krokiem w kierunku najbliższej ścieżki prowadzącej w głąb tętniącej życiem dżungli.

-Myślę, że nasi nie będą mieli nic przeciwko jeśli dołączymy się do zabawy w przestworzach.

-No nie wiem, mogą się obrazić jak zabraknie dla wszystkich celów – syknął ironicznie Brassk – Ale skoro proponujesz... To może wyślemy zaproszenie do zabawy też naszym błyszczącym przyjaciom?

- Tych z wakacji na Chandrilli? Całkiem ciekawy pomysł... - Krassk wyszczerzył zęby w przerażającym uśmiechu i obu pochłonęła ciemność prawdziwego oblicza *Doshy*.

Na mostku największego statku yuuzhańskiej floty wychodzącej z ukrycia, zza księżycy Akoshissss panowała całkowita cisza.

Wszyscy oczekiwali aż Yuuzhanin stojący przy iluminatorze wyda kolejny rozkaz. Wszyscy obecni na mostku znali dokładny plan, ale nikt nie ośmieliłby się wydać komukolwiek jakiegokolwiek polecenia bez zgody dowódcy.

Nam Cieer stał jednak pogrążony w zadumie i jak zahipnotyzowany wpatrywał się w, wypełniająca niemal cały iluminator, planetę. Jego agenci w niedocenianym, a raczej znajdującym się w powszechniej niełasce, Praetorite Vong wyposażyli go w pełen zestaw informacji na temat Trandoshy. Zielona kula na tle czarnej pustki przyciągała jego wzrok niemal magicznie, a słońce systemu oświetlało ją w tym momencie tak, że na jednej trzeciej panowała jeszcze noc. Coś pięknego, widok planety wolnej od bluźnierstw tej Galaktyki.

Informacje, które posiadał informowały go jednak nie tylko o niewielkim stopniu urbanizacji planety, ale również o wszystkich mankamentach nawigacji w czarnej przestrzeni pojawiających się w tym systemie. Utrudniony był również kontakt, więc pojedynczy przekaźnik, który właśnie został zniszczony przez eksperymentalny statek, potrzebował pomocy wielu sensorów rozmieszczonych na orbicie. Najciekawsze było jednak to, że każdy z nich mógł pracować samodzielnie jeśli ktoś posiadał sprzęt mogący się z nim połączyć.

Wszystkie te problemy były spowodowane obecnością mgławic oraz całkiem dużych pól asteroid, które przemieszczały się w pewien specyficzny sposób. Na przykład teraz, co nie było przypadkiem, osoba wchodząca do systemu z czarnej przestrzeni musiała minąć Akoshiss, a tym samym natknąć się na yuuzhańska armadę. Precyzja i spryt, to właśnie to co pomoże nam zdobyć więcej tak pięknych światów jak ten, pomyślał Cieer.

Odwrócił głowę w kierunku załogi, kątem oka dostrzegając Heffa stojącego przy błonie wejściowej z twarzą oświetloną lekkim światłem przez nią przenikającym. Uniósł kącik ust w lekkim uśmiechu i odezwał się w kierunku załogi:

-Czy nasze lądowiska są już po drugiej stronie księżyca?

-Tak jest – odpowiedział mu głos, którego nie mógł zidentyfikować w półmroku panującym na mostku.

-Dobrze, a czy dostrzeżono jakiegokolwiek bluźniercze statki niewiernych? - zapytał głosem niezdradzającym zadowolenia jakie odczuwał w związku ze swoim planem.

-Tak jest, właśnie startują z powierzchni planety – odpowiedział mu znów ten sam głos.

-Rozpoznanie? - zapytał mrużąc lekko oczy, jakby chciał dostrzec połyskujące durastalowe plamki startujące z oświetlonej części planety.

-Trzy jednostki średniej wielkości, dwanaście niewielkich statków i trzydzieści dwa jednoosobowe, jeśli nasze odczyty nie są mylne.

-Świetnie, rozstawić flotę tak, aby zablokować niewiernym dostęp do pozycji, z których mogą wejść w czarna przestrzeń. Wysłać skoczki koralowe. Statki niewiernych nie są teraz ich celem. Namierzyć asteroidy promieniujące największym ciepłem i wszystkie zniszczyć. Kiedy bluźnierstwa znajdą się na wcześniej ustalonej linii zaangażować w walkę. Ja dołączę do drugiej części naszej floty oczekującej za księżycem. - przy ostatnim zdaniu skinął na Heffa, który zrozumiał i zniknął za błoną wejściową. - Czy wszystkie rozkazy zrozumiano?

-Tak jest! - odpowiedziało mu wiele głosów i dźwięk pięści uderzających w pancerze na znak ukłonu.

Rzucił ostatni raz okiem na roztaczający się za iluminatorem piękny widok, po czym odwrócił się na piecie i wyszedł na korytarz kierując się w stronę niewielkiej jamy, która niewierni nazwali by jego osobistym hangarem.

Stał tam jego prywatny prom, który mógł pomieścić zaledwie czterech pasażerów i dwóch pilotów, za to pochwalić go można było za bardzo gruby pancierz pomagający w niektórych sytuacjach. Błona i tak nie wpuściłaby do jamy nikogo poza nim samym, albo Heffem, który to stał właśnie na opuszczonej rampie pojazdu. Kiedy dostrzegł Cieera wszedł na pokład i zajął miejsce drugiego pilota. W przeciwieństwie do wielu dowódców Nam wolał latać samodzielnie. Usiadł i nałożył kaptur percepcyjny nawiązując znajomą więź ze statkiem. Zanurzając się w niej coraz bardziej rozpoczął procedury przedstartowe. Następnie bez żadnych problemów opuścił wnętrze statku flagowego i skierował się ku lądownikom czekającym po przeciwnej stronie Akoshiss. Katem oka dostrzegł skoczki koralowe zbliżające się w stronę kilku niepozornie wyglądających asteroid. Zbliżała się chwila chwały i Nam Cieer odczuwał to coraz mocniej.

Brassk i Krassk biegli przez dżunglę w takim pędzie, że nie zwracali uwagi nawet na gałęzie co chwilę smagające ich po twarzy, a wszystkie zdradziecki korzenie wystające z ziemi instynktownie przeskakiwali. Ta planeta była ich domem, współgrali z nią jakby byli jej częścią. Mieli do pokonania ostatni odcinek dzielący ich od statku, kiedy nagle niebo nad ich głowami pojaśniało od pierwszych wybuchów. Nie były podobne do tej wielkiej eksplozji poprzednio, wyglądały raczej jak...

-Brassk... - zaczął oszołomiony Krassk, widząc, że brat podnosi do oczu makrolornetkę. Chwile odczekał, nie poruszając się, tylko przeczesując niebo wzrokiem.

-Brassk, to nasi? - zaczął znów – Brassk, do cholery! Powiedz, że to nie nasze statki już oberwały!

Jego brat odciągnął makrolornetkę od oczu i spojrzął na brata. Wielkie żółte oczy wyrażały teraz nieskrywane przerażenie.

-Nie, to coś gorszego. Pełen gaz, nie mamy czasu! - zerwał się ponownie do biegu. - Powiem Ci na statku... - rzucił przez ramię, a Krassk momentalnie ruszył za nim.

Niemal jednocześnie wpadli na polanę i popędzili w kierunku rampy, która zaczęła już opadać.

System rozpoznawania zamontowali jeszcze w czasach świetności Imperium i jak dotąd przydał im się już wiele razy. Był dość znacznym udogodnieniem w pewnych sytuacjach, kiedy honor trzeba było schować do kieszeni i wiać, ratując swoją skórę.

Teraz, kierowani wyrobionymi przez lata przyzwyczajeniami wpadli na pokład i od razu się rozdzielili. Brassk popędził do sterowni i rozpoczął procedury przedstartowe, a Krassk zabezpieczał włązy i sprawdzał komorę silników. Czasem zdarzało się, że na tak egzotycznych planetach jak Dosha, czy też nawet Kashyyyk, niektóre stworzenia wabiło ciepło, promieniujące od silników jakiś czas po lądowaniu. Czasem wiły gniazdka, a czasem – jak na przykład pewna pantera piaskowa – zaczynały uważać to za swoje terytorium. Często prowadziło to do dość rozległych zniszczeń kosztownego sprzętu.

Krassk w końcu wpadł do sterowni i opadł na fotel drugiego pilota i zarazem nawigatora, a kątem oka dostrzegł, że brat poświęca uwagę panelowi komunikacyjnemu.

-Tym razem czysto – zaczął – a teraz powiedz... Co nam sprezentowali teraz Bliznogłowi?

-Niszczą asteroidy komunikacyjne, zaraz nas odetną! - syknął Brassk – spróbuj skontaktować się z... sss... z Kashyyykiem, to teraz ważniejsze. - powiedział i uruchomił repulsory.

Krassk zaczął wpisywać polecenia na klawiaturze umieszczonej przed nim i zauważył, że jedna wiadomość już została wysłana do... Ah no tak, co zaproponował to zrobić! - pomyślał o bracie. Następnie spróbował wysłać to co sam zdążył ułożyć. Przycisnął odpowiednią sekwencję guzików i...

... nic.

Potem znowu, i jeszcze raz.

-Brassk, chyba już mamy problem...

-Wiem – przerwał mu brat i wskazał ręką na monitor taktyczny – nawiązali kontakt bojowy z naszymi grupami, a to znaczy, że skończyły im się cele, więc...

-... jesteśmy już na dobre odcięci – wysyczał z bólem w głosie Krassk i rzucił jeszcze raz okiem na ekran.

Ich honor łowców był już niezagrożony hańbą, ale obaj nigdy w życiu nie byli tym tak bardzo zmartwieni.

Piloci zbieraniny statków – dezercerzy, przemytnicy, łowcy nagród piraci, złodzieje, czyli największe męty ale też.... jedyni obrońcy Doshy – dzielnie stawiali opór falom atakujących ich koralowych skoczaków. Spojrzał na resztę Yuuzhańskiej floty i odezwał się do brata, który właśnie przełączał statek na napęd podświetlony i kierował dziob „Krwawego Pazura” w kierunku otwartych przestworzy:

-Większe statki ustawili tak, że nikt nie jest w stanie wejść do nadprzestrzeni, a potencjalni goście od razu wpadną w krzyżowy ogień ich krążowników. Jesteśmy od tej pory zdani na siebie i na naszych rodaków w przestrzeni. Przydamy się im tam...

-Stang... -zasyczał tylko w odpowiedzi Brassk i frachtowiec wznosił się ponad ogromne drzewa, a widok w iluminatorze byłby naprawdę godny podziwiania w każdej innej sytuacji tylko akurat nie w tej w jakiej się znaleźli.

Zachodzące za horyzont słońce, zamieniło cały nieboskłon w czerwoną plamę ogarniającą coraz więcej czubków drzew. Widok ten przyprawiał o ciarki i dla każdego przesądnego Trandoshanina nie wróżył poprawy żadnej sytuacji, a już szczególnie tak beznadziejnej.

Zwiastował wielkie i krwawe łowy.

Niebiesko-skóra Twi'lekanka właśnie miała wyjść z kabiny pilota kiedy usłyszała kurant holoprzekaznika na konsoli sterowniczej. Odwróciła się zwinnie i tak gwałtownie, że małe, puchate

zwierzątko, które siedziało jej na ramionach musiało pospiesznie przeskoczyć na fotel drugiego pilota żeby nie spaść na ziemię. Potem śnieżnobiały squall usiadł pośrodku, stanowczo za dużego nawet jak dla człowieka, fotela i zaczął wpatrywać się w swoją panią wyczekując co zrobi.

Bez zbytniego pośpiechu, ale z wdziękiem godnym monarchini usiadła na swoim fotelu i przełączyła kilka przycisków, tak żeby na ekranie pojawiła się wiadomość, która przysłała na jednym ze specjalnych kanałów. Stopniowo jak czytała, jej wyraz twarzy zmieniał się przechodząc stopniowo aż do ciekawości mieszającej się z niepokojem. Kiedy skończyła rozparła się wygodnie w fotelu analizując w myślach to co właśnie przeczytała.

Zwierzątko widząc okazje wbiegło po jej nodze i usiadło na kolanach wpychając jej łebek pod jedną rękę i domagając się głaskania. Popatrzyła na niego i jej twarz pojaśniała, pogłaskała go prawą ręką, a lewą sięgnęła do kieszeni w której miała schowane kilka ciasteczek. Wyjęła jedno i podała squallowi, a kiedy zwierzątko zajęło się pałaszowaniem delikatnie wzięła go na ręce i wstała. Jej myśli znów skupiły się na otrzymanej wiadomości. Znów skierowała się do wyjścia a puchate zwierzątko skorzystało z okazji i wdrapało się po jej głowoogonie i usadowiło na ramieniu.

Uśmiechnęła się i podeszła do panelu interkomu. Wywołała połączenie z ładownią:

-Cyar'ika... - zaczęła i usłyszała w odpowiedzi pusty brzdęk, jakby ktoś szybko się wyprostował i uderzył w coś głowa. W rzeczywistości nie było to nic dziwnego na tym statku. Nawet po podwyższeniu sufitów łatwo było znaleźć miejsce gdzie Togorianin nie będzie się w stanie wyprostować, a w każdym razie nie powinien tego robić gwałtownie.

-Rrrrr... Tak, jestem już. Miałem kłopoty z... przemeblowaniem ładowni – odpowiedział jej wciąż obolały głos, zabarwiony jednak charakterystycznym dla niego dobrym humorem.

-Dostaliśmy wiadomość od naszych gadzich przyjaciół... - urwała na chwilę – na paśmie specjalnym. Pamiętasz wakacje na Chandrilli?

-Nie mógłbym zapomnieć. Jak poważna sprawa? - zapytał rzeczowym tonem – albo nie, poczekaj, idę tam do Ciebie...
-Nie - weszła mu w słowo - zbież ekipę, powinni się kręcić gdzieś po lądowisku. Musimy zorganizować odprawę, a to nie jest zlecenie jak każde inne, Shwarrz... - przerwała, zastanawiając się jakby nad czymś – I przygotuj swoją bestię, tym razem chyba wybierze się z nami na ...wycieczkę. Widzimy się za 15 minut w świetlicy.
-Załatwione, Nom'ika. Zaraz wracam – ciche piknięcie zasignalizowało przerwanie połączenia.
Nomi Daar wcisnęła kolejny przycisk i drzwi kabiny rozsunęły się. Uważając, żeby nie stracić zwierzątka z ramienia wyszła na korytarz i skierowała się do panelu diagnostycznego statku. Możliwe, że niedługo zrobi się gorąco, a nie chciała, żeby zawiódł chociaż jeden najmniejszy podzespół „Doashima”.

Tymczasem w ciągu takich 15 minut, za Akoshissss, transportowce wyładowane Yuuzhańskimi wojownikami ustawiły się w formacji przygotowanej do desantu. Powoli nie wychodząc zza cienia księżycy, wiedziona przez niewielki organiczny twór, który niewierni nazwaliby zapewne promem, zaczęły zbliżać się w kierunku planety z dala od toczącej się bitwy w przestrzeni. U Nama Cieera wszystko szło zgodnie z planem...

...podczas gdy w przestrzeni ogarniętej walką dał się słyszeć komunikat:

-Dowódca do Grupy Byager, przegrupować się i skierować na największy statek wroga, przygotować torpedy i rakiety...
Powtarzam, Grupa Byager...

Głos urwał się w komunikatorze, w sterowni „Krwawego Pazura” nagle, jakby cięty nożem. Nikt nie pytał, wszyscy wiedzieli o co chodziło. Nie było nikogo, kto nie chciałby żeby to była wina zakłóceń, ale prawda było to, że pilot Z-95 zniknął wraz z maszyną w wybuchu, rozsadzony na miliardy kawałków.

Zniknął więc tym samym jeden z trzydziestu dwóch, już trzydziestu – poprawił się w myślach Krassk, spoglądając na ekran taktyczny, myśliwców, jakimi dysponowali.

Bitwa wrzała już od dłuższego czasu, a większość skoczków porzuciła zadanie niszczenia asteroid komunikacyjnych i zaangażowała się w walkę z obrońcami planety. Niewielka ilość statków jaką udało się zmobilizować została podzielona na kilka grup – każda dowodzona przez byłych żołnierzy. Nie trzeba wspominać jak fatalne w skutkach mogło okazać się powierzenie tych stanowisk łowcom nagród czy szmuglerom.

Trzy, średniej wielkości statki - korweta celna i krążowniki typu Tartan oraz Marauder – zostały rozstawione tak, aby bronić dostępu desantowcom, jakie mogłyby się pojawić, do planety. Pozostałe dwanaście frachtowców, z których chyba żaden nie przypominał swojego fabrycznego pierwowzoru, i trzydzieści dwa myśliwce różnych konstrukcji zostały podzielone na cztery grupy – Guage, Byager, Jahumba i Kajabba. Każda równo po dwa klucze myśliwców, liczące po cztery jednostki każdy, i cztery frachtowce. -Tu Byager Pięć, eskadra za mną, według wyznaczonego wcześniej kursu! - to dowódca drugiego klucza eskadry, która straciła przed chwilą lidera, przejmował dowodzenie.

Takie rozwiązanie, opracował Brassk z bratem już na początku organizowania obrony. Na polu bitwy nie powstawał chaos, ani nie było szans na pojawianie się konfliktu o przejęcie dowodzenia. Z góry została ustalona kolejność zmian dowódców grupy, eskadr i kluczy, w razie „niedyspozycji na polu bitwy”, któregoś z nich. Taaa... Ciekawy eufemizm, oznaczający brutalną śmierć w czarnej i zimnej pustce przestworzy – pomyślał i skrzywił się Krassk.

-Przestań robić głupawe miny i bierz się za działka – wrzasnęła na niego Brassk, robiąc gwałtowny zwrot i unikając pędzącej w ich kierunku rozpędzonej bryły koralu yorik – Sstang, to cholerstwo zżarło nam trochę tarczy! Ruszaj się, bo zawraca!

Statek, którym lecieli, którego używali, nie miał planowo zbyt wielkiego uzbrojenia. Zwykle frachtowce XS-800 nie posiadały nic więcej poza jednym małym podwójnym działkiem laserowym o

mocy, która wywołałaby atak śmiechu u każdego szanującego się łowcy, szmuglera lub każdej innej męty, która zna praktyczną wartość uzbrojenia. I choć z wyglądu statek zachował swoje, tak charakterystyczne, podobieństwo do koreliańskiej korwety to wewnątrz zmieniło się nie do poznania. Biorąc pod uwagę, że statek był swego rodzaju premią do jednego ze zleceń - w końcu, po co martwemu handlarzowi przyprawy statek? - Można było poświęcić pewne fundusze na jego przebudowę. I tak, działko zostało zamienione na poczwórne, aby było bardziej... Wydajne, na polu bitwy. Wyrzutnia Arakyd Morne-3, świetnie zasługująca na swą sławę, trafiła do arsenału przy innej okazji. Tak to już jest, jedni zyskują inni tracą i tylko od nich zależy ile stracą i jak bardzo są przywiązani do pewnych rzeczy. Ostatecznie, jeśli uda im się jakoś pogodzić ze stratą będą mieli okazję ją jeszcze odrobić w przyszłości, w przeciwnym razie... Przyszłość nie jest już dla nich taka pewna. W późniejszym czasie „Krwawy Pazur” doczekał się też dwóch wyrzutni torped protonowych Arakyd Hi-Fex zamontowanych teraz na przedzie statku.

-On już praktycznie nie istnieje, ważne jest to, że w kierunku planety zmierzają dwie pełne eskadry skoczków. - zaczął Krassk spoglądając kątem oka na ekran taktyczny. - I wiesz, chyba nie po to żeby zjeść z nami kolację. - Włączył systemy uzbrojenia i spojrzał na siatkę celowniczą, na której środku widniał zbliżający się skoczek. - A Ty jej nawet nie dożyjesz – syknął ze złością w głosie.

W kierunku skoczka pomknęła rakietą ścigana wiązkami laserowymi, które najpierw ją wyprzedziły a następnie zostały wchłonięte przez mikrodziury wytworzone przez dovin basale. Rakietą nie natrafiła jednak dzięki nim ta ten opór rozbijając statek na miliony małych kawałeczków koralu yorik dryfującego w przestrzeni.

-Grupa Guage – zaczął Brassk, wykonując kolejny unik przed kolejnym yuuzhańskim pociskiem – dwie eskadry skoczków zmierzają w kierunku planety, związać ich walką, stwarzać pozory i postępować zgodnie z wcześniejszymi wytycznymi.

Wytyczne były proste, należało sprawiać wrażenie, że obrona miast jest sprawa priorytetową, aby Yuuzhanie jak najdłużej nie zaczęli próbować szukać nowych osad w dżungli. Próbować, bo znaleźć mieli raczej małe szanse. W miastach pozostały obsadzone jedynie stanowiska obrony planetarnej, które nie próżnowały i już zaczęły posyłać w kierunku skoczków laserowe wiązki. Mimo wszystko, wszelkie czujniki wroga wykaza, że miasta tetnią życiem. Tutaj przysłużyła się schwyta wcześniejszej miejscowa flora, która wypuszczona z rozkazu braci, skutecznie mogła zmylić czujniki, a nawet dostarczyć trochę zabawy najeźdźcom. Ostatecznie na planecie inteligentnych drapieżnych gadów cała flora musiała przystosować się do tego trybu. Na *Doshy* panowały nieskomplikowane zasady – Ty ich, albo oni Ciebie.

-Dowódca Guage, potwierdzam rozkaz.

W przestrzeni jedenaście statków odłączyło się od reszty i ruszyło w pogoń za zanurzającymi się w atmosferę skoczki. Brassk z drapieżnym uśmiechem przyglądał się jak obrona planetarna strąca jednego skoczka, a on rozpadając się powoduje barwny deszcz płonących szczątków nad planetą. Przerzucił kolejny raz przełącznik komunikatora:

-Grupa Jahumba, za mną, postaramy się zrobić tyle szkód ile tylko zdołamy – skręcił ostro w prawo tak, że cały przedni iluminator wypełniły yuuzhańskie statki – i niech Sędzina ma nas w opiece. Od walczących, na ekranie taktycznym, odłączyło się kolejne dziesięć punkcików, za to w kierunku „Pazura” podążała istna chmara jarzących się czerwienią trójkącików.

Potem rozpętało się piekło.

-... I tym razem to jest zlecenie, z którego nie będzie zysków. W tej wojnie przestały mieć one znaczenie. Nawet nasz Manda'lor – usłyszała ciche warczenie za swoimi plecami i aż za dobrze wiedziała o co chodzi – zebrał ekipę i ruszył na ratunek niektórym systemom. - Nomi rozejrzała się po zebranych. Zaskakujące jak wiele osób potrafi pomieścić tak małe pomieszczenie – pomyślała.

Dookoła niej stało dwanaście istot w wielobarwnych mandaloriańskich pancerzach. I nawet gdyby nie ściągnięte z głowy buy'ce dałoby się zauważyć pewną ciekawą zależność. Nie było wśród nich ani jednej istoty ludzkiej, ani wśród zebranych ani wśród członków klanu, który reprezentowali. Za jej plecami wiernie czuwał Shwarrz, od którego to pochodził ten pomruk niezadowolenia. Z niewiadomych nikomu przyczyn nie przepadał on za obecnym Manda'lorem. Nie odezwał się jednak tym razem, bo sprawa szła o dużo wyższą stawkę niż prywatne uprzedzenia.

-Akurat ta wyprawa pozostaje prywatną inicjatywą moją i Shwarrza, jako, że chodzi o naszych znajomych, a wezwanie zostało przekazane kanałami prywatnymi, a nie oficjalnymi. Nikt nie będzie ani zmuszany, ani przekonywany do wzięcia udziału. Niech wyjdą Ci, którzy nie zamierzają nam pomagać. To jest szybka decyzja, nie ociągajcie się, bo czas jest sprawą kluczową.

W trakcie jak kończyła to zdanie, kilku Mandalorian popatrzyło na nią z wahaniem i odprowadzeni morderczym spojrzeniem Shwarrza szybko opuścili świetlicę. Jedynie Zeltronka z długimi ciemnofioletowymi włosami stanęła w drzwiach wyraźnie się zastanawiając co zrobić. Rozglądnęła się po twarzach zebranych, którzy zajmowali miejsca siedzące zwolnione przed chwilą. Twarze wszystkich wyrażały determinację i jakąś nutę goryczy. Informacje przychodzące każdego dnia z zakątków Galaktyki nie działały pozytywnie na niczyj nastrój. Nawet squall na ramieniu Twi'lekanki, zwykle poruszony w obecności tylu osób, teraz siedział jakiś spokojny. W końcu jej spojrzenie zatrzymało się na opartym o narożnik Falleaninie z granatowoczarnym warkoczem opadającym na ramiona. Odwróciła się i usiadła na miejscu, które przed chwilą opuściła.

-Vor'e, Sia. - skinęła jej głową Nomi i popatrzyła po zebranych. Razem z nią i Shwarrzem zostało osiem Mandalorian, całkiem nieźle, to ponad połowa i dużo więcej niż przypuszczała. - Jak się dzielimy to zależy od tego, co zamierzacie wziąć ze sobą. Ja ze Shwarrzem leciemy, oczywiście, na „Doashimie” i chociaż ładownie zajmuje nasz drugi pupil – pogłaskała squalla na ramieniu i

popatrzyła na wyszczerzone w uśmiechu zęby Togorianina – to działka mamy do obsadzenia.

-Ja zostaję u siebie. Puki żyję to „Jeździec” lata ze mną wszędzie – z entuzjazmem powiedział Zanx, kremowoskóry Zabrak, spec od napraw ekstremalnych co dało się zauważyć już przy pierwszej wizycie na jego krypie – I mam wolną zarówno ładownie jak i wszystkie miejsca strzelców...

-... bynajmniej nie wszystkie – szturchnęła go w bok, siedząca obok Meili, białowłosa Devaronianka, szaleńczo zakochana w materiałach wybuchowych wszelkiej maści – Jak ja Cię nie przypilnuję to ktoś Ci w końcu odstrzeli ten zakuty łeb.

-W takim razie wciśnięcie do ładowni mojego K-winga i macie kolejnego strzelca, bo ostatnie na co mam ochotę to podróż przez nadprzestrzeń w ciasnej kabinie – dołączył do rozmowy Falleanin Xuuro – A z tego co pamiętam prycze macie całkiem wygodne. I Zanx, może uda mi się coś zrobić z tymi twoimi systemami po drodze.

-Nawet nie waż się ich tykać – warknął na hakera Zabrak – ale prycze i miejsce w ładowni masz. Ej, Sia może i Ty się wpakujesz z swoim Defenderem?

-Kpisz sobie? Nawet jeśli ten twój złom by go pomieścił to po ostatniej akcji nie nadaje się do użytku, więc wracać do domu mogłabym ewentualnie na jakimś szalonym mynocku. Ale do Twojej załogi dołączę. Nie zniosłabym smrodu tego stwora w ładowni tutaj.

Shwarz, zmierzył ją najbardziej krwiożerczym ze swoich spojrzeń i warknął.

-Jak na razie to „ten stwór” ma większe sukcesy w polowaniach niż Ty, młoda, i lepiej nie obrażaj Rratatoka, bo jeszcze usłyszysz, a ma bardzo wrażliwy charakter...

-... i podniebienie. Ta, znamy to. – zachichotał czteroręki osobnik siedzący na kanapie z jedną parą rozparta na oparciu, a druga udając wielką paszczę pożerającą buy'ce siedzącego obok niego Selonianina. - Jeśli nie masz nic przeciwko to ja i Lithan, zagrzejemy

naszym zakutym tyłkom miejsca na „Doashimie”, bo najwyraźniej nasza załoga nie kwapiła się do wylotu tym razem.

-Kajuty są gotowe, a właściwie nie sprzątane od waszego ostatniego pobytu. Ale jak się tak zastanowić nad poprzednimi akcjami to niedługo przeniesiecie się tu na stałe. A, i Tryss, znasz zasady. -

Nomi szybkim ruchem wyciągnęła blaster, wystrzeliła i trafiła centymetry od stopy Codru-Ji. - Zabieraj nogi ze stołu. - Schowała bron i z uśmiechem patrzyła jak blat „wchłania” wypaloną plamę, a Tyrss podkula nogi pod siebie.

-Jeśli nie macie już nic do sprawdzenia to pakujemy się na statki i spadamy. - Shwarrz wstał i podszedł do Nomi. - I jeszcze jedno... - rzuciła za wychodzącą grupą - ... tym razem wszystkie zbroje na czarno, dyskretna może się przydać. - pocałował Twi'lekkanke w policzek, zmierzwił futerko squallowi i wyszedł do ładowni.

-Czyli, że już za późno na sprawdzenie czy nie zostawiłem steku z nerfa w opiekaczu? - zaczął Tryss, ale widząc spojrzenie znikającej w korytarzu Nomi dodał tylko:

-Prosimy zapiąć pasy, następny przystanek: piekło.

Nam Cieer spojrział na stół taktyczny i zobaczył, że mniej więcej jedna czwarta bluźnierczych statków podążała za wysłanymi przez niego skoczkami. Co prawdą mniej niż na początku zakładał, ale i tak wystarczająco. Najważniejsze, że te, skąd inąd sprytniejsze i zaradniejsze niż zakładał, istoty chwyciły przynętę. Nie obchodziły go w tym momencie miasta. Mordowanie w tak bezsensowny sposób jak bombardowanie nie dość, że nie przejawiało ani krztyny honoru to w dodatku nie miało żadnego sensu. Z tego co sam zdążył się dowiedzieć mieszkańcy tego systemu świetnie nadawali się na niewolników. Jedynym celem tych dwóch eskadr było odciągnięcie niewiernych od przestrzeni między planeta a jedną stroną księżycy. Po drugiej stronie księżycy w bezpiecznej odległości, a teraz również odcięte przez główny trzon armady, mozoliły się walka pozostałe siły obrońców.

-Przekaz rozkazy wszystkim lądownikom. Kierunek powierzchnia planety. Teraz nic nie jest w stanie nas oddzielić od zwycięstwa. - polecił Heffowi.

-Tak jest – odpowiedział ten ze zwykłą sobie dyscypliną i zaangażowaniem.

Wcześniej należał do, niesławnego obecnie, Praetorite Vong. Po porażce jaka odnieśli musi teraz zapracować znów na swą reputację. A nigdzie nie będzie mu tego zrobić lepiej niż u boku ambitnego i wybijającego się młodego dowódcy takiego jak Nam. Podbój tej planety otworzy naprawdę wiele dróg do kariery. Nikt nigdy więcej nie odważy się wzgardzić domeną Cieer. Dovin basale obudziły się do życia i statki wypełnione wojownikami ruszyły ku jej chwale.

-Hej, Zanx, mogę skorzystać z twojego holoprzekaznika zanim skoczemy w nadprzestrzeń? – Rozległo się wołanie w wypełnionym ciszą korytarzu „Mrocznego Jeźdźcy”.

-Jasna sprawa, Xuuro – odkrzyknął Zabrak ze sterowni – Tylko nie próbuj grzebać w żadnych innych systemach. Ostrzegam Cię!

-Dzięki – uśmiechnął się Faleanin i zamknął drzwi do małego pomieszczenia, w którym znajdowała się konsola holoprzekaznika.

Wpisał kilka kombinacji na klawiaturze i otworzył bezpieczne połączenie ze statkiem, w którym sam montował systemy komunikacyjne. Przyłożył mikrofon do ust i zaczął nagranie:

-Witaj, stary gadzie, jeśli w tym całym twoim *osik* życiu pozostało

choć odrobinę honoru to mam informacje, która może Cię zainteresować. Jeden z moich, *vode*, otrzymał ciekawy list...

-Moc przednich osłon spadła do sześćdziesięciu procent Krassk!

Staraj się chociaż w nich trafiać, zanim odstrzela nam nasze drogocenne tyłki! - Wrzasnął Brassk do brata przekrzykując wycie alarmowych syren – Jak kilku nie zestrzelisz to zaraz dobiorą nam się do skóry, a ja jej tanio nie sprzedam!

-Ssstaraj się w takim razie choć trochę uników robić, i nie latać tak blisko nich to te piekielne stworzenia może przestaną pożerać nam tarcze – syknął w odpowiedzi Krassk, po czym wypalił serię z działka w kierunku skoczka. Dovin basal, rzecz jasna bez trudu wytworzył mikrodziure, która wchłonęła wszystkie laserowe wiązki, Następnej już nie zdążył i bez przeszkód przedarła się do celu torpeda protonowa wystrzelona z Y-winga pilotowanego przez Jahumba Sześć. Zmieniła go w kule martwego koralu yorik.

-Świetny strzał, Szóstka, należy ci się kolejka kiedy wrócimy w końcu do domu – krzyknął do mikrofonu Krassk – jeśli wrócimy – dodał w myślach rzucając okiem na ekran taktyczny.

-Możesz być pewny, że Ci nie odpuszczę jak będzie kiedyś okazja „Pazur” - odparł na prywatnym kanale.

Obaj wiedzieli, że „kiedyś” oddala się coraz bardziej z każdą minutą spędzoną w tym kotle, a zbliżające się na ekranie czerwone punkciki dawały dużą szansę na zamianę go w „jeśli”.

Kolejna kula magmy rozbiła się o dziobowe tarcze.

-Brassk, trzech leci prosto na nas! Czas na zabawę!

Jego brat pochwycił w lot ukryty przekaz. Polując ze sobą lata mieli okazję przetestować wiele taktyk walki z różnymi formacjami i klasami statków. I okazało się, że stałe formacje, najlepiej rozbijając stałym atakiem. Może się różnić szczegółami i okolicznościami, ale to zawsze jest ten sam skuteczny atak. Problem mogło stanowić jednak to, że biotechnologia mogła rządzić się swoimi prawami. Nie jest powiedziane, że statek zachowa się tak jakby chcieli. Ale w obecnej chwili nie mieli innego wyjścia tylko spróbować.

Ostatecznie ceną za bezczynność jest śmierć, a to nigdy nie jest pożądane rozwiązanie. Brassk lekko skręcił stery w lewo kierując dziób statku wprost na skoczka lecącego pośrodku formacji. Jego brat gmerał chwile przy kontrolkach, po czym zaświeciła się lampka świadcząca o tym, że przednie tarcze osiągnęły moc stu procent.

Zbliżali się do skoczków coraz bardziej i coraz szybciej.

-Góra – powiedział Brassk i odbił stary gwałtownie w lewo kierując się poza całą formację skoczków.

Potem kilka rzeczy wydarzyło się niemal jednocześnie. Skoczki znalazły się w jednej linii robiąc zwrot za uciekającym statkiem, więc dwa z nich przestały strzelać, żeby nie trafić swojego. Dobrze, oznaczało to, że Yammosk kierował nimi tak jak każdy sprzężony system komputerowy. W tym samym momencie „Pazur” zanurkował pod najbliższym skoczkiem, a Dovin Basal niemal od razu zaczął wysysać mu tarcze. Nie był tym samym w stanie przechwycić dwóch torped skierowanych w niego z dziobowych wyrzutni. Zniknął w rozbłysku ognia, a jego odłamki zasypały ledwie działające już tarcze. W tym momencie Brassk zwrócił znów dziób w kierunku tego statku, który leciał niedawno pośrodku formacji, a Krassk zasypał go jednocześnie laserowymi wiązkami, które, jak zwykle zajęły czymś Dovin Basale i wypuszczona sekunda wcześniej rakietą bez trudu przemknęła i wybiła w skoczku wielką ziejącą dziurę. Umierający wrak oddalił się w kierunku planety, żeby po chwili spłonąć w górnych warstwach atmosfery. Ostatni skoczek wpadł prosto między szpony Pierwszego klucza Jahumba.

-Brassk, przednie tarcze 50%, tylne 30% - powiedział Krassk zmęczonym głosem – Nie pociągniemy tak długo, jeszcze jedna taka akcja i między nami a skoczkami nie zostanie ani krztyna tarcz.

-No to Ty nie powiesz... -rzucił brat i nagle urwał – Czekaj... - Wpatrzył się w iluminator – Sprawdź na czujnikach położenie większych statków, bo chyba...

-...wycofują się na dalsze pozycje! - dokończył za niego Krassk podnosząc głowę znad konsoli – Ale zostawili skoczki, część wciąż bombarduje planetę, a pozostałe są zaangażowane w walkę w przestworzach. Tak jakby dawali nam łatwe, małe zwycięstwa.

-Grupa Jahumba – powiedział Brassk przełączając kilka rzeczy na pulpicie sterowniczym – uformować szyk za mną i atakujemy największy statek. Teraz mamy szansę, jak są w ruchu w beładnej formacji. Krążowniki zostają na miejscach, nie przerywacie zaopatrzenia i bronie dostępu do planety. - *Ashkrik!* - przełączył znów na interkom – tylko ciekawe czemu nie zrobią drogi dla lądowników mając taką siłę ognia w odwodzie. A ty wiesz co robić, bracie.

Krassk pochylił się nad konsolę i zaczął coś liczyć i ustawiać. W końcu odwrócił się do mikrofonu komunikatora i połączył z resztą grupy.

-Jahumba, tu „Pazur”, dostajecie dwa zestawy współrzędnych. Potwierdźcie odbiór. – Odpowiedział mu chór potwierdzeń. - na mój rozkaz wystrzelacie torpedę lub raketę w pierwszą współrzędną, a sekundę po niej w drugą. Zrozumiano? – Znow ten sam chór.

Sam ustawił systemy celownicze na obie współrzędne. Pierwsze z nich ustawione były na samym środku wrogiego okrętu. Nie wyłączając komunikatora zaczął odliczanie.

Byli coraz bliżej. Jeszcze bliżej.

-Na mój rozkaz...

W stronę trandoszańskich statków poleciały pierwsze kule magmy. Potem ostrzał nagle zgęstniał i przybrał na sile. Grupa zaczęła robić uniki pozwalające trzymać im się cały czas ustalonej formacji.

Krassk położył pazury na drążku celowniczym.

-...teraz!

W stronę okrętu pomknęło pięć rakiet i osiem torped, a sekundę po nich kolejne tyle. Pierwsza salwa zgodnie z planem zmusiła pokładowe dowin basale do otwarcia wielkiej czarnej dziury, która połknęła wszystkie pociski. Natomiast druga... rozległ się błysk wybuchu, i pocisk za pociskiem zaczęły wgryzać się coraz głębiej w poszycie okrętu. W końcu w ciągu sekund, które wydawały się godzinami, przełamał się na dwie części. Jedna pozbawiona części silnikowej momentalnie została pochwycona przez grawitację księżycy. Nagle rozbłysk wybuchającego Y-winga obudził wszystkich z zadumy w jaką wpadli na widok rozpadającej się ogromnej bryły koralu yorik.

Pełna salwa z pozostałych okrętów skupiła się teraz na grupie Jahumba wykonujących gwałtowne zwroty o sto osiemdziesiąt stopni.

- Odwrót, odwrót! – wrzeszczał Krassk do mikrofonu, prawie wypadając z fotela kiedy Brassk wykonał manewr w przestworzach i w tylne tarcze trafiła kolejna kula magmy. Tuz przed nimi właśnie

wybuchł jeden z frachtowców i Brassk wykonał kolejny unik tym razem na dobre wyrzucając Krasska z fotela.

-Stang, zwariowałeś. Ja rozumiem, że ratujesz nasze tyłki, ale trochę komfortu mi się należy. - wysyczał wyjeżdżając na korytarz. – Co z tymi, kriffing generatorami grawitacji?!

-Jak już tam jesteś to sprawdź bezpieczniki – wyszczerzył zęby w drapieźnym uśmiechu.

Przesunął kilka przełączników na konsolce komunikacyjnej i głośnik rozbrzmiał wiązką trzasków i trudno rozpoznawalnych dźwięków.

-Aaaa...

-Tu...nastka... ja... katapu...

-Starci... Ine.. słony... statecz... aa...

Pstryknął jeszcze raz i w sterowni ucichło jakby cięte nożem. Potem usłyszał głucho uderzenie jakby ktoś gwałtownie upadł na pokład.

-Wnioskuje, że grawitacja działa, a Ty nie narzekasz na brak siniaków, co bracie? – rzucił do Krasska wchodzącego z powrotem do sterowni. Ucichły uderzenia kul magmy o padające już osłony statku. Grupa Jahumba nie zasługiwała teraz nawet na to miano, poza „Pazurem” z kotła wydostał się jeden frachtowiec i cztery myśliwce. Teraz poza polem ostrzału okrętów mieli chwile spokoju.

-Grupa Jahumba, wrócić po zaopatrzenie do naszych krążowników, a potem rozdzielić się i dołączyć po pozostałych Grup. Wypełnijcie luki powstałe w wyniku walk. Przy odrobinie szczęścia yammosk był na tym statku, który udało nam się zamienić w kupę stopionego koralu. Ashkrik! – Rzucił Brassk do mikrofonu. – Krassk analiza taktyczna pola bitwy?

Korzystając z chwili spokoju skoncentrował się na jak najszerszym obrazie przestrzeni.

-Skoczki nad planetą albo zostały zlikwidowane, albo uciekły, a grupa Guage wraca w przestworza, żeby dołączyć do Kajabba i Byager, krążowniki zmieniły formacje, korweta i Marauder osłaniają Tartana, który oberwał. W przestworzach wszystkie nasze statki związane są walka ze skoczkami, eliminujemy ich, a oni ciągle przysyłają nowe. Krążowniki wroga nie zareagowały na naszą

zaczepkę i nie atakują. Myślę, że yammosk ciągle żyje i utrzymuje stałą formację z dala od naszej obrony planetarnej. Reszta przestworzy pus... - nagle poczuł się jak największy idiota galaktyki. Cała taktyka wroga stała się jasna. – Brassk, przegraliśmy. Zostaliśmy oszukani. Lądownicy są już prawie na planecie. Brat z niedowierzaniem spojrzął na ekran taktyczny i zrobił minę jakby dowiedział się właśnie, że jest sześciolatkiem Wookiee, a co gorsza, jego rodzice to Givinowie, którzy właśnie postanowili przeprowadzić się na Raxus Prime w celach zdrowotnych. Otrząsnął się z szoku i pstryknął przełącznik komunikatora. -Do wszystkich jednostek, przerwać walkę! Wyprowadzili nas w pole, skoczki to tylko przynęta. Siły wroga lądują właśnie po przeciwnej stronie planety. Starcia kosmiczne nas nie interesują, a okręty wroga blokują dostęp do otwartych przestworzy i osłaniają lądownicy. Wszyscy wracamy na Doshę, musimy bronić naszej „matki”!

Każdy bez większego trudu dostrzegł, że nie mają najmniejszych szans zdążyć na czas dotrzeć na drugą stronę planety. Nawet jeśli jakimś cudem udałoby się zniszczyć statki wroga, to nie było najmniejszej możliwości, aby zrobić tego zanim wojownicy dotrą na planetę. A nawet jeśli to nie zostałby nikt do walki poza cywilami. Inwazja rozpoczęła się na dobre, a jedynym sposobem zakończenia jej było wyrzucenie Bliznogłowych z Doshy. Może wtedy reszta zmądrzeje i nie będzie już liczyła na „łatwy łup wojenny”.

Trandoshańskie statki skierowały się ku powierzchni, a skoczki, podążając za wyraźnymi rozkazami pozwalały im na to.

-Jak mogliśmy to przeoczyć Brassk? Co teraz będzie?

W sterowni panowała cisza, a Brassk pokręcił tylko z niedowierzaniem głową wpatrując się w ich dom - zieloną planetę przed nimi.

Której widok, fascynował również wpatrującego się w iluminator Nama Cieera. Wpatrywał się w zieleń jak zahipnotyzowany, zdawała się go wzywać. Wnikała w głąb jego duszy i zaczynała ją

pochłaniać. Jak większość wojowników w jego wieku nie postawił nigdy stopy na prawdziwej ziemi i chciał jak najszybciej dowiedzieć się jak to jest stąpać po czymś nie stworzonym przez bioinżynierów jego rasy tylko przez samą naturę. Blaski słońca tańczące po koronach drzew wprawiały go w coraz głębszy trans. Tylko siłą woli zmusił siebie samego do powrotu do rzeczywistości. A ona odwdzieczyła mu się prawdziwym szokiem. Nie zdawał sobie sprawy, że aż tak bardzo brakuje mu czegoś czego nigdy nie dane mu było poznać.

-Niech przygotowują miejsce pod obóz – rozkazał Heffowi. Kątem oka dostrzegł, że ten przekazuje jego rozkazy dalej. Mógł na nim polegać, tego był pewien, ale wszystko ma swoje granice. Również w przypadku zaufania jakim go darzył były one jasno określone. Ostatecznie drabina kariery i władzy składała się głównie z trupów „przyjaciół” i sojuszników, nie zaś z wrogów. Choć, trzeba przyznać, że najlepszy wróg to martwy wróg.

Niewierni niedawno zniszczyli jego flagowy okręt. Niewiele go to obchodziło, szczerze mówiąc. Jego plan działał jak na razie bez zarzutu, a informatorzy z Praetorite Vong, od których Heff zbierał informacje, okazali się niezwykle pomocni.

Zaczął śledzić ruchy świetlików na stole taktycznym. Wszystko zgodnie z planem. Co prawda niewierni zwrócili właśnie swoje nic nie warte bluźniercze maszyny w kierunku planety, ale to już nie miało żadnego znaczenia. Zanim uda im się dotrzeć do pozycji jaka właśnie osiągnął minie wystarczająco żeby jego obóz był gotowy. A do czasu, aż pojawią się pierwsi niewolnicy, mistrzowie przemian uporają się ze wszystkimi... udogodnieniami.

Obrócił spojrzenie znów w kierunku planety. Mimo, że podchodzili już do lądowania bez najmniejszego problemu dostrzegł, że błony największych lądowników zostały już otwarte, a najnowsze bioinżynieryjne osiągnięcie jego ziomków zabiera się za przygotowywanie terenu. Z tego co słyszał Ogniodmuchy świetnie sprawdziły się na Gyndyine. I kiedy pierwszy z nich zabrał się do pracy, musiał przyznać, że relacje nie były przesadzone. No może

trochę, ale to nieunikniony minus przekazywania informacji nieoficjalnymi drogami w tak wielkiej flocie jak yuuzhańska. Obecny widok zdecydowanie poprawił mu humor.

Gdzieś na Zewnętrznych Rubieżach odezwał się kurant nadchodzącej wiadomości, wypełniając przesiąkniętą oparami alkoholowymi sterownię trudnym do zniesienia dla śpiącego w fotelu Trandoshanina dźwiękiem. Z trudem podniósł powieki i po omacku zaczął szukać właściwego... Jest! Ile tylko siły w ręce uderzył w przycisk.

-Witaj, stary gadzie... - odezwało się w głośnikach. *Stang!* Pomylił przyciski i zamiast skasować wiadomość odtworzył ją. Teraz głowę wypełniał mu dźwięk tysiąca wybuchających supernowych. - ... jeśli w całym twoim *osiik* życiu – kontynuował głos, który w końcu udało mu się dopasować do osoby. Zerwał się na równe nogi, ale zakręciło mu się w głowie i opadł ciężko na fotel. – pozostało choć odrobinę honoru. – postanowił jednak wysłuchać informacji. A wraz z kolejnymi posłyszonymi słowami zmieniało się nastawienie do życia kapitana „Hound’s Tootha”.

CZEŚĆ 2

Wkrótce...
